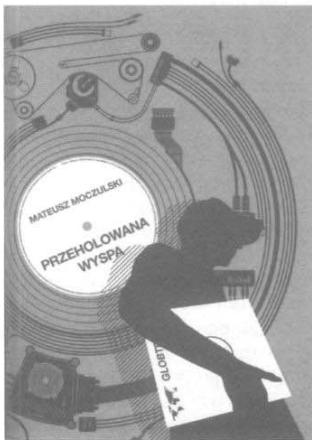


## RECENZJE i noty o książkach

PRZEDPOSTNOWOCZESNA  
RZECZYWISTOŚĆ  
POD IGŁĄ SPIRALI CZASU



Nowoczesność była już  
tak nowoczesna  
że nikomu nie imponował postęp  
z książki recenzowanej

Przed przystąpieniem do fascynującej lektury *Przeholowanej wyspy* Mateusza Moczulskiego radzę uzbroić oko w zegarmistrzowską lupkę i odczytać, co kryje mikroskopijny druk na obwodzie białego longplaya w centrum przeniebieszczzonej frontowej okładki książki. Nad prozatorskim debiutem znanego już autora tekstów dramatycznych i słuchowisk unosi się Trójduch Opiekunicy Stanisława Lema, Sławomira Mrożka i Witkacego; nie tylko nad sceną wywoływania duchów wybitnych pisarzy z dopytywaniem ich o globalną przyszłość. Krakowska aura sprawia, że wszystko w tym dziele płynie z rwącym prądem współczesności, choć groteskowym korabiem formy, co ja mówię „korabiem” – supertransatlantykiem, który świetnie radzi sobie zarówno na wodzie, jak i na twardym lądzie, a i kosmiczne odloty z CZARNOWIDZAMI Z BASU Czarnego Wieszczu R. też nie są mu obce.

Kompozycyjny miszmasz ma mocne oparcie w osiemnastowiecznej pierwszej polskiej powieści po francusku pisanej, to jest – *Rękopisem znalezionym w Saragossie* Wacława Potockiego. Szufladkowa czy szkatułkowa konstrukcja utworu obraca się w sferze dźwięków: szumów, zlepow, ciągów... „Świat jest teatrem” u Szekspira, u Mateusza Moczulskiego – jest słuchowiskiem. Potwierdza to wyjątkowa fonizacja języka w brzmieniach i współbrzmieniach isticie radiowej onomatopeizacji. Do tego dochodzą: homonimy, synonimy, palindromy („Lionoil”), aluzje literackie, mówiące nazwiska, imio-

na oraz ksywy jakby z „Witkacego ukąszenia”. A jeszcze – dynamiczna składnia rwanych zdań dialogów i swoistych potoków słownych. Nawet język narracji przechodzi miejscami w mowę potoczno-slangową.

I od strony drażenia słowa i ze względu na dwudzielność wewnętrzną *Przeholowana wyspa* na zasadzie lustra przypomina nieco słynny best-seller Juana Jose Millasa *Porządek alfabetyczny o rozpadzie i dekonstrukcji słów powiązanych z desygnatami*. To podobieństwo upatrywałbym u Moczulskiego w apokaliptycznym rozcyfrowywaniu struktury świata poprzez demontaż energii z pomocą Wirusa na globtrotylowym winylu. Całość więc jest i ukorzeniona w tradycji i doprawiona nowością. A wszystko po to, by w groteskowym przerysowaniu oddać zmanipulowany medialny bełkot globalnej polityki i biznesu, który dość skutecznie bełta w głowach bezmyślnych obywatelokonsumentów, zapatrzonych bezkrytycznie, tępo i leniwie w kolorowy ekran. To kolejne po Orwellu i Konwickim podejście do totalitaryzacji wyobraźni z iskrą wiary w ozdrowienie szok sztuki za przykładem słuchowiskowej *Wojny światów* Wellesa. Autor uświadamia swoim współczesnym zdeformowanie rzeczywistości przeniesionej w wymiar globalny w stadium rozmytym, zanikowym świata totalitaryzmu ewoluującego na płaszczyźnie sensacji i sztywności kultury za nią goniącej, przerafinowanej, a co za tym idzie – nudnej, samoredukującej się. Nie moc, a przemoc obraca się w niemoc i apatię przystosowania do odhumanizowanej roślinności.

Moczulskiego niepokoi postępujący wgląd rządzących w wyobraźnię i kontrolę snów niby – wolnych szeregowych podwładnych oraz bezwzględne wykorzystywanie elity naukowej, nakręcanie szantażem przez naczelne marionetki legalnego brytyjskiego Ministerstwa Fonii w osobie lorda Łysa Opona i ministerialnej szarej eminencji – kalifornijskiego styndysty po praktyce w polskim Sektorze Publicznej Kultury (SE-PUKU) – Dżordžia Bakkado, jak też przemieszczających się mobilnych dyktatorów spod ciemnej gwiazdy typu Marcassina. W tym węźle trwa poszukiwanie super broni z wstawianą populistycznie doktryną, że perspektywa jej globalnego użycia zapobiegnie Apokalipsie. Tu odnajduję echa dwóch świetnych opowiadań Jana Paradowskiego *Fonografu*, a zwłaszcza – *Lola*. Lolo – lwowska „złota rączka” ze wspomnianego utworu autora *Zegara słonecznego* skonstruował domowym sposobem na przełomie wieków XIX i XX „karabin szybkostrzelny na dwa tuziny nabożów” z przekonaniem, że „jego wynalazek całkiem skasuje wojnę”. Wynalazek spoczął bezpiecznie w wojskowych archiwach CK Monarchii, ale nie po wieczne czasy, skoro dziś rządzi światem kałach i patałach oraz sprawdza się refleksja Stanisława Jerzego Leca:

„Choćbyś był wielki jak jaki rabin,  
nie sprostasz temu, co trzyma karabin”.

Przywołałem Leca, bo *Przeholowana wyspa* mówi też o kontroli „myśli nieuczestnych”, wywiedzionej zapewne z Big Brothera w świecie wodzoidoli powoływanych czy głupio wybieranych z i przez wydrążonych ludzi jałowięcej ziemi umysłów, odlogujących na lekkim rauszu permanentnego niedoścpania.

Koneksje z *Rękopisem znalezionym w Saragossie* oraz Don Kichotem eksponują motyw Wiecznego Tułacza, bo *Przeholowana wyspa* to w jakimś sensie też powieść drogi, tyle że o wędrowaniu na wariackich obrotach i zapętlaniu w Czasie. To stroboskopowa stopklatka z pozornie odwracalnym filmem Ośmiośladowego Mach R. Rdzy, uwożąc go w niejasną przyszłość wybudzonego z letargu „wczesną wiosną, gdzieś na schyłku lat zerowych” Mauroupiora Archibaala de la Pumma vel Czarnego - Don - Kichota - Nie - Do - Porąbania.

Rozczytywanie *Przeholowanej wyspy* to istna erudycjomachia z „muzeum figur wioskowych” totalnie globalnej wioski. No i hola – hola – la! Tu romans zrobociałych ludzi i człowieczających chytrze androidek zmienia się niespodziewanie w powieść esencjonalną, a mówiąc po staroświecku – powiastkę filozoficzną. W innym znów miejscu Bracia Nastrachu: Armando, Fernando, Bernardo, Szponardo, Petardo i Plutardo częstują czytelnika konserwą „RZECZYWISTOŚĆ POLSYF steżenie 99%”. Płyta leci dalej... I raz dokoła!

Komiksowi i fonovideoclipowi bohaterowie kręcą i nawijają podstylizowanym slangiem z umiarkowaną domieszką wulgaryzmów. Rzecz dzieje się w Anglii, czyli wszędzie, czyli w Polsce „u końca lat zerowych XXI wieku”, a didżej Wid Mon z podlondyńskiej dzielnicy zatrzymanego czasu L4 (zwolnienia lekarskiego? czasowej niezdolności?) próbuje z przystojnymi robotkoagentkami Nonice i Numą wyplatać się z zastęglej prowincjonalności srebrnym małym fiatem 126p z niebiesko-czerwonym paskiem. Czy mu i innym to się uda?

Odsłuchawszy kilkakrotnie strony A i B *Przeholowanej wyspy*: dwa razy od deski do deski, a nie liczoną ilość razy – segmentami, nie odnotowuję niezaprogramowanych zgrzytów i nie namawiam do remasteringu, a tym bardziej – „sformatowania mózgow”. Ta płyta kręci nieźle i – być może – nakręci sensowny film akcji, bo słuchowisko mamy zapewnione w czytaniu. Kto nie wierzy, niech czyta GŁOŚNO. To głośna powieść! Umacnia się kolejne literackie pokolenie Moczulskich z tej ziemi suwalskiej wywodzących się, choć mocno już ukorzenionych w Krakowie. Na naszą chwałę!

Wacław Klejmont

Mateusz Moczulski: *Przeholowana wyspa*. Warszawa, Wydawnictwo „Lampa i Iskra Boża”, 2005, 162 s. ISBN 83-89603-24-1.